

SOLIDARNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA W ŚRODOWISKU WOJNY

Zwrócono się do mnie z sugestią, abym się podzielił moim doświadczeniem, jako katolik na wojnie. Zadanie to jest trudne zarówno ze względu na niejasność wspomnień, jak i nieumiejętność pisania. Ale postaram się coś niecoś powiedzieć.

Mówić z pozycji katolika o wojnie nie znaczy, że będzie się mówiło o Bogu i o naszym zbliżaniu się do Niego, kiedy to na przykład modlimy się częściej lub goręcej niż zazwyczaj; będzie to raczej mowa o tym, co czyniliśmy w tych warunkach i jak postępowaliśmy w takich okolicznościach, z tym, że będę się starał naświetlać poszczególne wydarzenia z pozycji mojej wiary.

Służba wojskowa

Sytuacja wojenna jest, dzięki Bogu, na ogół nieznana większości naszych czytelników; sądzę przeto, że dobrze będzie scharakteryzować pokrótce okoliczności poprzedzające moje „wojowanie”

W roku 1972, kiedy się zaczynała ta moja „przygoda”, miałem 27 lat, byłem inżynierem, żonatym, mającym trójkę dzieci i znakomitą posadę. Nagle otrzymałem powołanie do służby wojskowej. Przez trzy pierwsze miesiące byłem rekrutem, co zobowiązywało moją małżonkę do zapewnienia utrzymania całej mojej rodzinie. Spodziewałem się, co było dla mnie rzeczą oczywistą, że po tym wstępnym okresie otrzymam służbę odpowiadającą mojej specjalności zawodowej — jako inżyniera. Tymczasem mianowano mnie komendantem kompanii: oznaczało to w praktyce 4—5 lat służby wojskowej w polu, połączonej z cywilną i żołnierską odpowiedzialnością za grupę liczącą około 160 ludzi. Ta zaś ludzka i wojskowa odpowiedzialność była tym większa, że kompanii tej nie włączono do batalionu lecz uczyniono z niej jednostkę niezależną.

Odbyłem 4 miesięczny staż kapitański w Gwinei w roku 1973, a potem wraz z kompanią zostałem wysłany do Angoli w czerwcu 1974 r.

Wojna kolonialna

Okres mojego pobytu w Gwinei, a potem w Angoli, był typowy dla wojny kolonialnej, całkowicie różnej od jej części końcowej, związanej z dekolonizacją Angoli.

Naszym głównym zadaniem była po prostu obecność połączona z czuwaniem, ochroną dzieł i transportów cywilnych i wojskowych, patrolowanie i niesienie pomocy w sytuacjach większej udręki. Była to zresztą wojna z istoty swej obronna. Dlatego też dla mnie jako katolika, a także z tego względu, że nie była ona nazbyt niebezpieczna, nie nasuwała większych problemów. I gdybym miał się rozliczyć z tego trudnego okresu przeżywanego z poczuciem wojny, czy też pewnego zniewolenia, jakie stanowiliśmy dla tych ludów, to muszę uczciwie powiedzieć, że nie miałbym nic do powiedzenia. W tych trudnych dniach na troskę o zdrowie żony i dzieci nakładały się istotne zajęcia związane z moją osobistą odpowiedzialnością za powierzonych mej pieczy ludzi. Żyć 24 godziny na dobę i 365 dni w roku tym samym życiem, narażać się wciąż na takie same niebezpieczeństwa, przewycięzać te same niewygody, cierpienia czy choroby, chodzić w tym samym mundurze, mieć takie same prawa i starać się głównie o to, by wszyscy żyli ze sobą jak bracia... Gdyby się nawet tego domagano, nie potrafiłbym się cieszyć tymi radościami, ani doznawać na nowo bólów, jakie były moim udziałem. One pozostały tam, ściśle ze sobą zespolone, na zawsze!

Byłoby czymś zgoła nienaturalnym, gdybyśmy się nie interesowali jedni drugimi. Uważam nawet, że wszyscy byli gotowi oddać swoje życie jeden za drugiego, a mówię to z wielkim wewnętrznym przeświadczeniem! Trudno w to jednak uwierzyć ludziom, którzy w codziennym swym życiu wielkomięjskim są tak bardzo samowystarczalni i jakże trudno jest nam poświęcić siebie w takich warunkach życia, jakie mamy obecnie, dać innym choć odrobinę z siebie! Kiedy więc się mówi o wspólnocie chrześcijańskiej i o jej wartościach, nie mogę wówczas zapomnieć tego czasu walki, kiedy to — w moim najgłębszym przekonaniu — przeżywało się o wiele głębiej solidarność ludzką i chrześcijańską, właśnie w stanie wojny. To oczywiście, że wówczas o wiele łatwiej było podejmować inicjatywy niesienia wsparcia i pomocy oraz być otwarcie katolikiem: uważam, że moi żołnierze wyszli z tej walki bardziej ubogaci nie tylko jako chrześcijanie, ale jako ludzie, otrzymywali bowiem i przekazywali innym odpowiednie wychowanie, stawali się mniej rasistami, patrzyli głębiej na małżeństwo i rodzinę, itd. Może wydawać się na przykład przesadą twierdzenie, że poczuli

się oni lepiej przygotowani do małżeństwa, skoro znajdowali się tak daleko od swych narzeczonych i kobiet, ale wyjaśnienie jest proste: welu z nich ożeniło się tuż przed wejściem na okręt, a w niejednym przypadku małżeństwo było przedwczesne — by poznać i „podbić” swoją narzeczoną. Dopiero co poślubiona dziewczyna, często jeszcze niedojrzała albo świeżo poznana, przy sztucznie wytworzonej miłości, zostawała sama po miesiącu czy paru tygodniach małżeństwa, we własnym domu lub u ludzi zupełnie jej obcych, diabeł zaś... miesza, i rzeczy czy sprawy nabierają tempa. W wielu takich przypadkach dziewczyny wyrażały żal i pisały o swym zerwaniu. Na naszym zaś odludziu pozostawał tylko ból miłości, wściekłość za zdradę, zazdrość i rzecz najgorsza ze wszystkich: wstyd wobec innych i poczucie hańby. Ale była też przyjaźń braterska, dyspozycyjność, gotowość na otwarcie się i czas na rozmowy, aby móc mówić szczerze i bez ogródek o prawdziwym sensie zespolenia się mężczyzny z kobietą, co prowadziło przeważnie do głębszego zrozumienia umożliwiającego pełne wybaczenie.

Można na tej podstawie lepiej teraz zrozumieć, dlaczego dwaj kombatanci, kiedy spotykają się obecnie ze sobą, mówią z tak wielkim entuzjazmem o przeżytej wojnie. Dla mnie osobiście było to doświadczenie ludzkie, o wiele bogatsze od wszelkich innych.

Dekolonizacja Angoli

Wojna kolonialna została dokładnie opisana na kartach tytułowych gazet oraz w przeróżnych broszurach: w miastach Portugalii panował więc klimat wojny. Ale 11 marca przejmuje w kraju władzę partia komunistyczna. W Angoli zaczyna się niepokój. Wojsko portugalskie nie tylko przeżywa głęboko wydarzenia w Kraju, ale przestaje po prostu rozumieć, jaką ma pełnić rolę w tym całym zamieszaniu; co gorsza, zaczyna mieć odczucie, że można uciskać rządy i ich szefów.

Wobec porozumienia zawartego w Alworze, wojska przechodzą do Luandy: cztery wrogie sobie armie — na tym samym miejscu. To jasne, że po krótkim okresie obserwacji oraz szybkiej rekrutacji zaczyna się prawdziwa wojna pomiędzy nimi, chociaż nigdy nie została oficjalnie uznana za taką. Skoro zaś samo przygotowanie żołnierskie było praktycznie żadne, żołnierze ci niewiele chyba sami cierpieli, ale stawali się przyczyną wielkich udręk, a nawet prawdziwej masakry ludności żyjącej w pobliżu ich „mini”-stanowisk.

Obok tych małych wojen, wszystkie ruchy rozsyłały swe tajne

policje, które uciskając ludność i walcząc z konkurentami siały jedynie terror, popełniając zbrodnie masowe.

Jaka w tym wszystkim rola przypadła wojsku portugalskiemu? Unikać wojen pomiędzy ruchami! W tym właśnie celu zostałem wraz z moją kompanią wysłany do Luandy, gdzie przeżywałem na bieżąco wszystkie te wydarzenia.

Łatwo było nam zrozumieć, że mamy wiele do zrobienia, gdy tymczasem każde nasze działanie staje się jedynie kroplą wody w oceanie. Wzywano nas nieustannie do ratowania osób (zwłaszcza jeńców), na które napadano, gwałcono i mordowano; musieliśmy przynosić rannych do szpitala, zaprowadzać spokój. Czuliśmy przy tym wyraźnie, że gdy tylko nadarzyła się sposobność oficjalnego patrolowania tych „mini”-kwater, przyczynialiśmy się dość skutecznie do niwelowania wybuchów tych tak śmiertelnych małych wojen.

W tym zwłaszcza okresie odczułem głęboko jako katolik swą odpowiedzialność, jak też odpowiedzialność samej naszej obecności. Moi żołnierze byli przecież jedyną deską ocalenia dla tak wielu ludzi, a powiedziałbym nawet bez ogródek: dla większości. Nie można było nie widzieć bólu i cierpienia, które nas otaczało, a niekiedy wprost dotykało (kompania miała także swoich zabitych i rannych). Z drugiej strony pragnąłem wciąż myśleć, że nie mamy nic wspólnego z zaistniałą sytuacją, że winą leży wyłącznie po stronie tych ruchów, ja zaś odpowiadam tylko za życie „moich” żołnierzy. Był to jakiś wybór zasadniczy między życiem a śmiercią, wszystkim i niczym. W moim przypadku wybór ten był o wiele łatwiejszy, gdyż miałem wciąż przed oczyma to bezgraniczne morze cierpienia, jakie człowiek jest w stanie w ogóle sobie wyobrazić, kiedy słyszy teraz o walkach w Rwandzie, Libanie, Bośni... A w obliczu takiej przerastającej nas całkowicie sytuacji nie możemy się przecież ukryć za zasłoną własnej narodowości, serca, *credo*, lub czegoś innego. Krew i ból są jednakowe u każdego z nas! Niezwykle cenna w tym przypadku była heroiczna wprost postawa tak młodych przecież żołnierzy, może mniej wykształconych i doświadczonych, ale pełnych prostoty i zaufania w swym życiu codziennym.

Czas ten był dla nas bardzo trudny, wiele wymagający, ale i bogaty w przeżycia. Utrwaliły mi się w pamięci zwłaszcza trzy sytuacje: pierwsza wiąże się ze szczególnie okrutnym dniem w szpitalu św. Pawła, w którym moja kompania stacjonowała, aby zapewnić ochronę i opiekę, uniemożliwiając, na ile to możliwe, bezpośrednie ataki, jako że niektóre ruchy dążyły do zabijania rannych przeciwników. Wraz z funkcjonującą już obroną trzeba było

pomagać w „selekcjonowaniu” przyjęć rannych — zadanie niezwykle trudne i niebezpieczne, ale bardzo istotne, polegające na oddzielaniu tych, którzy wymagali natychmiastowej interwencji lekarskiej, od złej rannych, którzy mogli i musieli trochę poczekać, albowiem środki i możliwości ludzkie (np. krew) były bardzo szczupłe i ograniczone, a sytuacja zróżnicowana. Zadanie to było o tyle trudniejsze dla nas, że nie znając się na medycynie mogliśmy faktycznie skazać na śmierć ludzi nie dopuszczonych do lekarza. Starłem się w tej sytuacji dodać choć trochę otuchy rannemu w wieku 16—17 lat z jakiejś trupy wojskowej, którego uznałem za nie wymagającego natychmiastowej interwencji lekarskiej, kiedy oto inny ranny, starszy wiekiem człowiek, który ze względu na tkwiące w jego ciele odłamki pocisków miał iść na operację, poprosił mnie, bym dał pierwszeństwo temu oto chłopcu. Okazało się, że był to jego syn! Został więc przy nim aż do jego śmierci. Zrozumiał, że przyjąłem określony schemat doboru, w którym nie było ani śladu dyskryminacji czy nienawiści. Zaakceptował go. Ale wymógł na mnie zmianę. Do lekarza poszedł z posuniętym daleko zakazaniem. Nie wiem, czy przeżył.

W innej trudnej sytuacji stanowiącej sam szczyt przemocy, kiedy po 48 godzinach nieprzerwanej, wyczerpującej fizycznie i psychicznie służby wojskowej (podczas której zmarł jeden z moich żołnierzy) wracaliśmy do naszej kwatery, tuż po wyjściu z pojazdu otrzymałem wiadomość, że rozwścieczony tłum wtargnął do dzielnicy stanowiącej coś w rodzaju obozu jenieckiego, rabując, gwałcąc i zabijając ludzi. Moi żołnierze nie byli w stanie się ruszyć: była to zrozumiała dla mnie reakcja niemocy, strachu, skrajnego wyczerpania, którą sam dobrze pojmowałem, czując i myśląc podobnie. Zrozumiałem jednak w mgnieniu oka i to, że ani oni, ani ja sam, nie wybaczymy sobie, jeżeli natychmiast tam się nie udamy. I pojechaliśmy.

Jeszcze inna okoliczność wiąże się z naszym pilnowaniem porządku. Nie mieliśmy przecież policji, więzień, sądu czy trybunału. Kiedy więc schwytaliśmy jakiegoś złoczyńcę, wybieraliśmy jedną z następujących ewentualności: zaraz go wypuścić, dać mu pożądne lanie i potem wypuścić, albo też zabić, albowiem nie mieliśmy żadnych możliwości zatrzymać go przy sobie, a wydanie go któremuś z ruchów równało się bądź to uwolnieniu go, bądź też zamordowaniu, w zależności od tego, czy był on zwolennikiem czy też przeciwnikiem danego ruchu. Schwytano raz złodzieja wychodzącego z domu, z zakrwawioną twarzą i z łupem we krwi. W domu tym były 4 osoby, w tym małe dziecko, podejrzięte i jeszcze ciepłe. Musiałem rzecz osądzić. Co czynić? Czy mam go wy-

puścić na wolność mimo wewnętrznego przeświadczenia, że uczyni coś takiego ponownie? Czy też zabić, nie mając jednak absolutnej pewności o jego winie? Jakim prawem? A co w takim przypadku uczyniłby Czytelnik? Nie powiem więc, co uczyniłem, albowiem nie chcę być sądzony, a sytuacja była tak złożona, że na tych kilku stronach nie sposób jej wyjaśnić.

Uważam mimo wszystko, że moim głównym zadaniem jako katolika było humanizowanie, na ile to możliwe, tych żołnierzy, a najskuteczniejszą formą — wykorzystywanie wszystkich okoliczności, aby mówić o Bogu, a na szczęście (czy nieszczęście) okoliczności takich nie brakowało. Nie było zresztą rzeczą trudną mówienie o Bogu, gdy śmierć była wszechobecna. O wiele trudniej było mówić o Nim dobrze... i mieć jeszcze Nadzieję.

tłum. ks. **Lucjan Balter SAC**